

„Przyszłość nie wszystkim znana”

Przybycie Hermine Schul do Suchej Górnej w roku pańskim 1875 wywołało niemałe poruszenie wśród ludności okolicznych wsi i miasteczek. Rozgłos ten nie był wynikiem jej niezwyklej urody i anielskiej twarzy, która spoglądając z afiszów rozklejonych na każdym słupie zawstydziała wdziękiem lokalne dziewczyny, a mężczyzn wracających z pracy zmuszała do przystąpienia w pół kroku. Nie było to również spowodowane brzmieniem jej nazwiska, które może w innych czasach, ale nie wtedy, budziłoby ciekawość. W ówczesnym kraju spotkać można było Polaka, Rosjanina, Czecha, a na ulicach język niemiecki mieszał się z jidysz.

Jedynym powodem, dla którego zreprodukowana na papierze, czarno-biała twarzyczka Hermine Schul znalazła się na językach mieszkańców Polkowic było to, że potrafiła ona, jak podobno nikt inny, przewidywać przyszłość. Dar ten pozwalał jej wypełniać place, skwery i amfiteatry ludźmi, którzy wiedzeni ciekawością, wpatrywali się w nią jak w obrazek i słuchali potężnego głosu, niepasującego wcale do drobnej sylwetki. Chcieli być częścią wybrańców, tych, którzy wiedzą więcej i wiedzą to jako pierwsi.

Nie wszyscy oczywiście dawali się ponieść tej zbiorowej ekscytacji i wyczekiwaniu na pokaz jasnowiedzki na polkowickim rynku. Słysząc było głosy, że to hochsztaplerstwo, naciągactwo i od słów poszły też czyny, wskutek których część afiszów została pozdzierana, a część oblana farbą, a nawet krowim obornikiem. Ludność podzieliła się na tych, którzy nie mogli doczekać się, żeby zobaczyć Hermine oraz tych, którzy ogłaszali wszem i wobec, że nigdzie się nie wybierają.

Wśród nich największym bodaj sceptykiem był Johann Lessel, właściciel gospody „Pod Trzema Murzynami”, prawnuk słynnego Antona Lessela, który pod koniec wojny siedmioletniej uratował z oblawy samego władcę pruskiego, Fryderyka Wielkiego. Za to właśnie Anton otrzymał nowowyzbudowaną gospodę, a Johann chełpił się tym do dzisiaj, tak jakby on sam porwał się na ten bohaterski czyn sto lat temu. Nie mógł się przemóc, żeby spojrzeć łaskawym okiem na postać Hermine również dlatego, że miał się za najbardziej bogobojnego mieszkańca Polkowic, a grzebanie w przyszłości na pewno nie mogło się podobać Bogu.

* * *

Na dzień przed pokazem, w gospodzie prześcigano się w tematach, na jakie rozprawiać będzie jasnowidzka. Jedni chcieli usłyszeć, kiedy i czy w ogóle skończą się zabory na ziemiach polskich, inni mówili, że Hermine ma ważną wiadomość dla miasteczka, a chodzi o jakiś kataklizm. Jeszcze inni mówili, że ponoć ma podać datę ponownego przyjscia Chrystusa i że na ziemiach głogowskich będzie to mieć miejsce, na co większość biesiadników pukała się w czoło.

Johann Lessel udawał, że nie przysłuchuje się tym gdybaniom i ostentacyjnie pisał coś na świstku papieru albo wycierał szklanki obrócony plecami do sali. Mężczyźni znali jego stanowisko co do Hermine Schul, dlatego tym bardziej, prowokacyjnie, któryś z nich wypalił znad piwa:

– A ty, Johann, idziesz jutro na rynek?

– A po co? – burknął Lessel, nie odwracając się. – Jeść dają za darmo?

– Co innego za darmo możesz dostać – powiedział Karol Weitzmann, szewc, który swój zakład miał tuż przy gospodzie. – Nie to co w twojej knajpie!

Mężczyźni roześmiali się, a Johann obrócił się do nich i nalał sobie piwa.

– Nie interesują mnie dyrdymały funta kłaków warte – powiedział i upił łyk. – Jutro niedziela. Do kościoła byś poszedł, a nie na spęd fanatyków.

– Do kościoła? – Weitzmann zmarszczył brwi. – Tam w kółko mówią to samo. Od prawie dwóch tysiącleci. A tu? Chodzi o przyszłość. Coś, czego jeszcze nie wiesz!

Cmoknął przy tym, jakby zachwalał najlepszą parę butów jakiemuś bogaczowi.

– Wiem tyle, że mnie jutro na rynku nie będzie – uciał Johann.

Zapanowała cisza, którą przerwał po chwili Weitzmann. Zamknął oczy i, ku tłumionym śmiechom współtowarzyszy, zaczął mrużyć.

– A ja, Johann, widzę... Że jednak... Będziesz... Widzę, cię na rynku, przyjacielu... I widzę, że zadzierasz nosa i myślisz, że do większych rzeczy jesteś stworzony. A stąd się to bierze, że kiedyś, dawno temu, twój pradziadek ocalił ważnego człowieka. Szkoda tylko, że władca ten kilka lat później podsunął pomysł rozbioru Rzeczypospolitej!

– I oby te zabory skończyły się jak najszybciej! – ktoś krzyknął ze środka sali i kilka kufla powędrowało w górę.

– Zdrowie!

Weitzmann pokręcił po chwili głową i mruknął, chyba bardziej do siebie:

– Każdy jest ciekawy. Każdy chciałby znać przyszłość.

– Ja nie chcę – odpowiedział Johann, który najwyraźniej usłyszał, co mówi szewc. – Poza tym ja znam twoją przyszłość, Karol.

– Co ty mówisz! – wzdrygnął się Weitzmann i od razu roześmiał, poruszony chyba własną naiwnością.

– Tak, znam – ciągnął Johann poważnym tonem. – Zamówisz jeszcze dwa piwa, przed północą trzecie, ale już na kreskę, wrócisz napruty do domu, a jutro będziesz wypierał się tego trzeciego, bo żona ci nie da pieniędzy i nie będziesz miał jak się ze mną rozliczyć.

Sala ryknęła śmiechem, bo Johann nie pomylił się nawet o jotę.

Tym przepychankom słownym z najciemniejszego kąta gospody przysłuchiwał się ojciec Hermine, Harald. I gdy lokal zaczął przed drugą pustoszeć, a Johann w końcu zamknął go dwoma wielkimi kluczami, Harald podszedł do niego od tyłu, że niby przechodził wówczas ulicą i przypadkiem trafił na właściciela.

– Pan Johann Lessel? – udał zdziwienie.

– Odejdź! – warknął Johann, nie podnosząc wzroku, nauczony doświadczeniem, że pod koniec dnia bezdomni i inni włóczędzy chcą uszczknąć co nieco z jego utargu. – Nikogo groszem nie ratuję, jeno na tacę daję co niedzielę!

– Nie o jałmużnę mi chodzi. Przysyła mnie Hermine.

Johann odwrócił się od wejściowych drzwi i zmierzył wzrokiem eleganckiego mężczyznę w wełnianym surducie, zakardowej kamizelce i przylegających spodniach na wieczorowe okazje – jednym słowem ujrzał takiego jegomościa, który na pewno nie splamił by sobie honoru wyciągając rękę po nieswoje pieniądze.

– Hermine? – zdziwił się Johann. – Co ona może ode mnie chcieć?

– To, prawdę mówiąc, moja córka. Kazała mi pana znaleźć. Ona i kilku mieszkańców Polkowic.

– Nic z tego nie rozumiem. – Johann zaczął tracić cierpliwość.

– Chodzi o to, proszę pana. – Harald zrobił mały krok wprzód. – Że Hermine zawsze w nowym miejscu ma wizje. Najczęściej wczesnym rankiem, kiedy jej umysł jest wypoczęty i niczym niezmacony. I dzisiaj właśnie taką wizję miała. Zobaczyła człowieka miejscowego, zasłużonego i wyjątkowego, kogoś, kto pracuje w miejscowym barze, ciężko jej było jednak ujrzeć twarz, bo wizja się rozmyła.

– I że niby chodzi o mnie? W okolicy jest kilkanaście barów.

– Popytałem wśród mieszkańców. – Harald uśmiechnął się chytrze. – I wszyscy mówili, że jeśli mowa o kimś wyjątkowym, innym niż wszyscy, niż pospólstwo, którego pełno w okolicy, to może chodzić jedynie o Johanna Lessela, prawnuka Antona.

– Tak mówili? – Johann wyprężył się, wciąż jednak patrząc na Haraldą spod byka. – A co robiłem w tej wizji pana córki?

– Nie wiem. – Mężczyzna rozłożył ręce. – Szczerze mówiąc, nie wiem. Hermine kazała mi pana odnaleźć, bo ma dla pana... indywidualną przepowiednię.

– Indywidualną przepowiednię – powtórzył Johann.

– Tak. Ale nawet mi nie chciała zdradzić najmniejszym słowem, o co może się rozchodzić. Powiedziała tylko, żebym odnalazł człowieka z wizji, to dowie się on o sobie czegoś wyjątkowego, czegoś o czym nie wie, a co siedzi w nim od dawna i czeka tylko, aby się ujawnić.

Johann zamyślił się na chwilę, bo zdawał sobie sprawę już od dłuższego czasu, że prowadzenie baru to nie dla niego zajęcie, że uwłacza mu i że wznioślejszymi sprawami winien się zająć. Widział się czasem przed snem jako doradcę wojskowego albo żołnierza, który wzorem swojego pradziadka z opresji ratuje władców na dalekim wschodzie. Albo w innej scenerii, jako kardynała, który honory przyjmuje od kobiet i mężczyzn, co to na co dzień każą mu piwo łąć do kufli, poganiając jeszcze przy tym.

– To by się nawet zgadzało, drogi panie – powiedział w końcu Johann. – Ale skąd mam wiedzieć, żeś pan jest prawdziwy ojciec wieszczki, a nie jakiś oszust?

– Tu mnie znają! – Obruszył się elegant. – Część ludzi w Zielonej Górze była z nami, a i pewnie pojutrze dalej, do Wrocławia za nami pojedą. Niech pan ich zapyta, bo ja na scenie się zawsze pojawiaam na samym początku i córę moją zapowiadam. A zresztą, to moje papiery.

I wyjął z kieszeni kamizelki dokumenty na nazwisko Schul, a schował je dopiero jak Johann z bliska do woli się napatrzył.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo wierzę w te przepowiednie... – zaczął niepewnie Johann, Harald wszedł mu jednak w słowo:

– I tak mi mówili wszyscy przychylni panu znajomi! Że bogobojny i roztropny, i że jak mam do pana jakiś interes z przepowiadaniem przyszłości, to żebym dał sobie spokój, bo szanowny pan Lessel odporny na tego typu rzeczy. Ale co mam zrobić!? Zawsze Hermine ma te swoje miejscowe przepowiednie, które tyczą się kogoś z odwiedzanych przez nas miejsc. Ja później szukam tych szczęśliwców, którym życie się zmienia po spotkaniu z moją córką.

Westchnął przy tym, i wiedząc w jaką strunę uderzyć, dodał zaraz:

– Dlatego jestem tu przed panem i proponuję tylko to spotkanie, po którym uznać pan może, że nie tak to życie do dzisiaj wygląda, jak miało wyglądać i natchnienie pan znajdzie do jakichś innych spraw. Większych.

Lessel gryzł wargę i kiwał się w przód i w tył, jakby zaraz chciał dać drapaką sprzed oblicza Haralda Schul. W końcu jednak odezwał się, łypiąc, czy nikt nie przechodzi nieopodal:

– W porządku. A ile to płatne?

– Najuczciwiej będzie, jak bez zbędnego kręcenia od razu powiem: dwieście pięćdziesiąt talarów.

– Zgoda. Panienska Hermine znajdzie mnie jakoś czy ja mam jutro podejść...?

– Już mówię panu. – Harald uklonił się nisko przyjmując pieniądze, które Johann z dzisiejszego utargu odliczył i w skórzanej sakiewce mu wręczył. – Zaraz po przepowiedniach proszę wejść do powozu stojącego najbliżej sceny i czekać. Hermine przebierze się i dołączy do Pana. Pojedziecie razem w spokojne miejsce, które pan sam wybierze.

Johann skinął głową na znak, że wszystko jest zrozumiałe i, rozglądając się raz jeszcze po ciemnej uliczce, powiedział półszepem:

– Tylko nic nikomu proszę nie mówić. Wie pan, ja byłem przeciwny przepowiedniom, zatem moja reputacja... I klienci baru...

– Nic mi pan nie musi mówić! – Harald Schul uklonił się raz jeszcze. – Wszystko jasne. Do zobaczenia jutro!

I oddalił się spokojnym krokiem, jakby wcale nie było mu śpieszno o drugiej w nocy być w domu, gdziekolwiek ten dom się znajdował.

* * *

Nazajutrz Johann obudził się z poczuciem, że źle zainwestował pieniądze i zbłądził się tylko, bo nic z tego nie wyjdzie, a jeszcze inni się dowiedzą, że płaci za jakieś dyrdymały. Ganił cały ranek sam siebie, że pomroczości wczoraj w nocy doznał, choć przecież jedno piwo tylko wypił za barem. A i tego jednego nie powinien.

Postanowił odnaleźć ojca Herminy Schul i poprosić o zwrot monet.

Wcześniej jednak udał się na poranną mszę, gdzie z półprzymkniętymi powiekami prosił Boga o przebaczenie za to, że w jakąś kabałę się wpakował. To mu się jednak wydało niewystarczające, po mszy więc odnalazł księdza Wincentego, który pełnił funkcję proboszcza w kościele św. Barbary na polkowickim rynku.

Duchowny zaprowadził go na plebanię i wysłuchawszy jego krótkiej, pełnej ukorzenia historii, wsparł całkowicie jego wątpliwości.

– Źle się stało, synu, żeś dał się omamić słowom tego człowieka. – Ksiądz Wincenty splótł ręce na brzuchu. – Przyszłość znana jest tylko Bogu, a kto twierdzi inaczej, na równi się z nim stawia. Błędni więc i nie zasługuje, by z nim rozmawiać ani wchodzić w rozmaite konszachty.

– Zbłądziłem, księżu proboszczu... – Johann spuścił wzrok i nic więcej z siebie nie mógł wydobyć.

– Odszukaj tego hochsztaplera i z różańcem w dłoni żądaj zwrotu talarów. Wówczas przyjdź na spowiedź do mnie. Tego spotkania na poczet sakramentu nie mogę ci zaliczyć, bo i inne winy pewnie się znajdują.

Johann przytaknął pod nosem i wyszedł z ponurą miną na polkowicki rynek.

Pod wschodnią ścianą ratusza ujrzał jakieś zbiegowisko i uznał, że to najwytrwalsi zwolennicy Hermine ustawiają się już, by jak najbliżej być podestu drewnianego, który zresztą jeszcze nie został ukończony. Do występu wieszczki zostało jeszcze dobre sześć godzin i Johann nawet się nie fatygował, żeby wyłowić wzrokiem Haralda z tej grupki ludzi. Ten, jak uznał właściciel baru, na pewno jeszcze z córką w Suchej Górnej pozostaje, a może łowi gdzieś w uliczkach kolejnego uczciwego człowieka, który okaże akurat chwilę słabości.

Chwilę przed godziną szesnastą Johann obudził się z poobiedniej drzemki i zląkł się, że przespał cały dzień i że kolejny się zaczął, przez co pieniędzy swoich nie odzyska. Wyrzwał momentalnie za okno, a że mieszkał tuż nad swoją gospodą, niecodzienny rozpostarł się przed nim widok: ludzkie sylwetki, kłębiące się i przepychające, jak jakiś dywan pokryły całą kostkę brukową. I naraz na drewnianym podwyższeniu ukazał się Harald, który krzyknął coś do zastygłych w jednej chwili gapiów. Johann nie usłyszał nawet jednego słowa, bo odszedł od okna, wsunął buty i zarzucił marynarkę, chcąc jak najszybciej znaleźć się na dole.

Na schodach kamienicy spotkał Mączakową, sąsiadkę młodszą sporo od niego, o wiecznie rumianej twarzy i szczerych oczach. Kobieta spojrzała na Johanna jak na ducha.

– Pan też uległ urokowi tej dziewczeczki? – zapytała.

– Nie, droga pani, sprawę ważną mam na mieście w całkiem innym kierunku.

– W niedzielę? – Zdziwiła się Mączakowa. – Będzie ciężko panu drzwi otworzyć wejściowe! Tyle ludzi się naszło!

Johann machnął tylko ręką, zbiegł na sam dół schodów i od razu w duchu przyznał rację Mączakowej.

Ludzie, odwróceny plecami, za nic mieli, że blokują lokatorom wejście. Johann musiał się przedzierać i co rusz przeproszać uprzejmie, żeby choć o krok do przodu się posunąć. Pomyślał nawet przez chwilę, że może by wyjątkowo bar w niedzielę otworzyć, zaraz

znaleźliby się głodni i spragnieni, szybko jednak złącał się w myślach i w ramach zadośćuczynienia ścisnął w lewej ręce różaniec, a prawą wciąż przepychał się przez tłum.

Haralda na scenie już nie było, weszła tylko jakaś dziewczyna, ale nie Hermine, i zaczęła przygrywać na harfie monotonną melodię. Johann stracił nadzieję, że dopcha się pod podest i odnajdzie eleganta. Miał już wracać, kiedy z tłumy dosięgła go czyjaś silna ręka i odezwał się znajomy głos:

– A jednak nie jest pan takim sceptykiem, z jakiego się podawał! – Harald stanął przed nim z szerokim uśmiechem na pomarszczonej twarzy.

– Szukałem właśnie pana... – Johann zmarszczył brwi. – Jak pan mnie znalazł wśród tylu ludzi?

– Coś przyciąga mnie do pana. Mnie i moją córkę!

– Ja właśnie w tej sprawie. – Johann poczuł się nagle bardzo niezręcznie – Otóż, panie Schul, wczoraj wieczorem...

– Wczoraj wieczorem podjął pan najlepszą decyzję w życiu – przerwał mu Harald. – I jest panu pisany nowy początek.

– Wolalbym odzyskać pieniądze. Nie wierzę w takie sprawy.

Harald Schul zrobił minę, jakby ktoś ugodził go w zebro.

– Panie Lessel! – niemal krzyknął, zaraz jednak zniżył głos niemal do szeptu. – Miałem nic nie mówić, ale zawsze wolę być lojalny wobec nowopoznanych ludzi. Bo Hermine jakoś mi wybaczy, a pan mógłby już zawsze mnie mieć za wroga. Otóż wizja mojej córki powtórzyła się dzisiejszego ranka. A nawet nabrała jeszcze bardziej realnych kształtów. Spociała się biedaczka przez te kilkanaście minut i myślałem, że ducha wyzionie, tak ciężko opadła na kołdry. Ale zaraz potem rozpromieniła się i mówi, że takie obrazy z panem ujrzała, że czeka tylko aż zakończy swój dzisiejszy występ, żeby przekazać panu, co widziała.

– Naprawdę? – Johannowi żal się zrobiło dziewczyny, że tak przez niego wycierpiała.

– Naprawdę! Widziałem to po niej. Bardzo dużo ją to kosztowało, nie zmarnujmy tego. Nie zmarnujmy jej talentu. A pan niech nie zmarnuje swojej przyszłości, bardzo o to proszę. Jest już pan tak blisko!

– Czy to spotkanie w powozie wciąż aktualne?

– Tak! – potwierdził Harald entuzjastycznie, ale zaraz znów zrobił zbolalą minę. – Tylko musi pan zrozumieć, że ten wysiłek... Prawie mi córka zesłała z tego świata. No i wizja. Będzie bardziej realna i konkretna. Wie pan, jak dorzuci pan jeszcze dwieście pięćdziesiąt talarów, to i Hermine wszystko opowie ze szczegółami, no i ja zdrowie trochę jej podratuję.

– Kolejne dwieście pięćdziesiąt talarów? – Zdziwił się Johann.

– Tak, panie Johannie wielmożny, jeszcze tylko tyle i zaraz pan będzie wiedział bardzo konkretnie jak dalek swoim życiem pokierować.

Na scenę, wśród aplauzu zebranych, wchodziła powolnym krokiem Hermine, Harald więc gestem popędził Johanna, który drżącymi rękami odliczył umówioną sumę. Wręczył je mężczyźnie, który rozpląnął się w tłumie.

Johann nie słuchał dokładnie głosu Hermine, który rzeczywiście był doniosły. Dziewczyna mówiła urywanymi zdaniami, czasem przyspieszała, później zwalniała i jedyny kontekst, który wyłapał Johann to religia. Tym bardziej więc zajął umysł czymś innym.

Prococtwa trwały krócej niż się spodziewał, więc gdy tłum zaczął się przeredzać, dużo łatwiej było mu dojść do powozu. Przedstawił się stojącemu obok woźnicy, usiadł na skórzanej kanapie i czekał.

Kiedy woźnica wsiadł i popędził konie, Johann zapytał, czy nie powinni zaczekać jeszcze na Hermine Schul.

– Takie dostałem wskazówki – rzekł wesoło mężczyzna z wąsem. – Żeby już jechać we wskazane miejsce.

– A jakie to miejsce? Bo ja przecież miałem je wskazać!

Ale woźnica uśmiechnął się tylko pod nosem i nie minęło pięć minut, gdy powóz wyjechał z Polkowic, przejechał trakt wychodzący na Trzebech i zatrzymał się u podnóża niewielkiego pagórka. Tego samego, na którym pradziadek Johanna wyzwolił sto lat temu pruskiego władcę.

Johann został sam na polnej drodze, a gdy kurz ciągnący się za koźmi w końcu opadł, mężczyzna zrozumiał, że oto padł ofiarą oszusta, wyłudzacza, ale i własnej naiwności, z której zdawał sobie sprawę, ale którą odganiał myślami o zmianie i obiecanej wyjątkowości. I to w takim miejscu – gdzie pradziad jego wykazał się męźnością i hartem ducha, on sam zaś, upokorzony, musiał wracać teraz na piechotę. Wiedział, że zajmie mu to co najmniej godzinę. Harald i Hermine będą już daleko za Polkowicami.

* * *

W jakiś sposób jego przykra przygoda dotarła do uszu mieszkańców miasteczka. Być może sam Harald, w ostatnim akcie złośliwości, rozpowiedział o swoim występku, choć zdaniem Johanna, nie było czym się chwalić.

Cały poniedziałkowy wieczór lekko już wypici klienci drwili z niego i dokazywali. Że połaścił się na kilka dobrych słów o sobie, że żyje mitem własnego pradziadka i że przestać już powinien marzyć o niebieskich migdałach.

Johann nie bronił się. Z czerwonymi policzkami i ścierką przewieszoną przez ramię słuchał tych docinków, a nawet uzupełniał powtarzane co chwilę przy barze domysły. Śmiał się z tego też pod koniec i mówił, że stracił twarz, pięćset talarów, ale zyskał pewność, że nikt przyszłości nie może znać i jedynie od nas jest ona zależna.